

Kęcik Wiesław

część I z III

Sygnatura notacji: **N0690**

Data urodzenia: **01.07.1946 r.**

Data nagrania: **13.03.2025 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Grzegorz Łeszczyński**

Czas nagrania: **część I: 53 min, część II: 62 min, część III: 53 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wiesław Kęcik: Jestem Wiesław Kęcik, urodziłem się bezpośrednio po wojnie, 1 lipca 1946 roku w ruinach Warszawy, na Okęciu, w okopach, które tam były wokół. Tam się bawiłem jako dziecko, wśród wszystkich możliwych łusek broni, tam przeżywałem ze całym społeczeństwem całą traumę powojenną, powroty ludzi z łagrów, powroty z obozów koncentracyjnych, z przesiedleń. Bardzo ważnym i istotnym w moim życiu jest właśnie ten początek mojego życia, jest ta sytuacja powojenna, która była z jednej strony naznaczona pamięcią o wielkich ofiarach Polaków, o bohaterskich zachowaniach moich różnych kolegów, rówieśników, ludzi starszych. Wychowałem się jako harcerz, który... No to za daleko poszedłem, bo to już 10 lat miałem w 1956 roku, kiedy zostało przywrócone harcerstwo, Związek Harcerstwa Polskiego z przedwojennymi wychowawcami, liderami i wtedy zaprowadzili nas na Cmentarz Powązkowski na groby Powstania Warszawskiego, na groby Szarych Szeregów. Wtedy nas wyprowadzili do lasów na różne biwaki, obozy, gdzie nam przy ogniskach opowiadali całą historię Polski, której nie słyszeliśmy w szkole. Ponieważ w szkole słyszeliśmy, że wszystko się zaczęło właśnie od Związku Radzieckiego i od wielkich dzieł dokonanych przez Armię Czerwoną. Natomiast polscy bandyci występowali przeciwko tej dobroci, którą Związek Radziecki niósł dla całego świata i dla wszystkich biedaków. Natomiast było to dzieciństwo naznaczone również bardzo wieloma negatywnymi rzeczami. To znaczy oprócz tego, że była bieda, dojmująca bieda, nie było produktów, nie było butów, nie było książek, nie było jedzenia, no nie było, po prostu nie było. Warszawa była kompletnie w ruinach, wszystko było rozwalone. Natomiast było również mnóstwo złości, agresji, nienawiści, którą czułem, podskórnie czułem. Było mnóstwo alkoholizmu, było mnóstwo kradzieży, było mnóstwo takich zachowań, które mnie jako dziecko bardzo bolały. Za wszystko to oczywiście czułem się jako ofiara, jako my Polacy ofiara spisku międzynarodowego, ofiara Jałty, jako ofiara zachowań różnych konkretnych ludzi, ofiara systemu, który tutaj panował w Polsce. Mojego ojca zamknęli do więzienia, ponieważ miał

firmę materiałów budowlanych przewozu, sprzedawał te materiały. Między innymi współpracował przy odbudowie lotniska Okęcie. W związku z czym przyszedł okres repywatyzacji i ojca koniecznie chcieli zniszczyć. No i zniszczyli. Zamknęli go do więzienia. Siedział na Gęsiówce z matką. Wielokrotnie nosiłem tam paczki ojcu do więzienia.

Grzegorz Łeszczyński: Jaki rodzice mieli na imię?

Wiesław Kęcik: Ojciec był Jan, matka Anna z Gwiazdów. Oboje pochodzili z Grójecczyny, natomiast przed samą wojną przeprowadzili się do Warszawy, wybudowali sobie domek na Okęciu, czy dwa domki i tam na tej posesji się wychowałem. No i tam oni wojnę przeżyli. Miałem trzech braci, było nas czterech braci. Urodziła się również i córka w 1951 roku, ale bezpośrednio po urodzeniu zmarła na wadę serca. Operacja nie przyniosła rezultatów. W czterech braci nieśliśmy jej białą trumienkę. To była kolejna dojmująca bardzo trauma dla nas wszystkich. Ja oczywiście tak naprawdę oskarżałem o to mego ojca, że nie był w stanie mnie obronić, mnie i moich braci, że sam również był ofiarą tych materiałów budowlanych, których brakowało. Jedyną zapłatą to był alkohol. Ojca zapraszali na obiady do różnych knajp, takich marnych knajp, takie wówczas były, no i tam go upijali, potem następnego dnia przychodzili i mówili: „Janek, przecież mi obiecałeś, że mi sprzedasz tam, cegły, tregry czy tam co innego”. Ojciec mówił: „No skoro obiecałem, no to weź, masz”. Tak że pieniądze nie były ważne. Ważne było słowo, które ojciec dał. A żeby dał, to trzeba było go upić. Więc to również powodowało dla nas wszystkich straszliwy stres, dla całej rodziny. Natomiast wszystko zostało zniszczone, nawet jeśli ojciec miał dużo pieniędzy, no to w momencie, kiedy go zamknęli do więzienia, przychodziło wielu ludzi i mówili: „Ojciec był mi winien, to i tamto”, no więc matka biedna wydawała te pieniądze tym ludziom, którzy mówili, że ojciec był im winien. No i tak to... Więc tak to żyliśmy. Ale tak naprawdę jedyną moją ucieczką to był Kościół. Pomieszkiwał między nami dziadek Mikołaj, wspaniały ojciec mojej matki, który codziennie rano brał mnie za rękę i moich braci i szliśmy do kościoła. Tam śpiewał godzinki po drodze albo na miejscu, tam była Msza święta przed szkołą. I tak mnie formował, to było miejsce, w którym czułem się bezpiecznie. Czułem się bezpiecznie, najchętniej tam bywałem, to do momentu harcerstwa. No a potem miałem te dwa miejsca: harcerstwo, które mnie formowało, i kościół, gdzie byłem ministrantem, gdzie byłem związany bardzo blisko z parafią św. Franciszka na Okęciu, w starym kościółku drewnianym, którego już nie ma, został rozebrany i przeniesiony do Puszczy Kampinoskiej, a został wybudowany w późniejszych latach nowy, który stoi tam przy Hynka. Natomiast... I tak naprawdę w tamtych latach został podniesiony z gruzów pomnik Kolumna Zygmunta. I ta Kolumna Zygmunta dla mnie, to naprawdę w moim sercu było wówczas i jest do dzisiaj pewien mój osobisty emblemat. Ja się z nią identyfikowałem wówczas i identyfikuję się dzisiaj. W jednym ręku Zygmunt trzyma krzyż, a w drugim miecz. I to była moja rzeczywistość. W jednym ręku właśnie był Kościół, no i Pan Bóg ze swoimi naukami, a w drugim miejscu rzeczywistość, która wymaga obrony. No i tak jak Podbipięta, dla Pana Boga trzeba tą szablą ścinać te głowy wszystkim nieprzyjaciołom, a miałem ich mnóstwo, mnóstwo. No to oczywiście byli Ruskie, byli Niemcy, byli Anglicy i Francuzi i Amerykanie, którzy nas zdradzili. No to byli Litwini, którzy w Ponarach naszych AK-owców więzili. No to byli Ukraińcy, którzy w SS Galizien palili Warszawę i wysadzali budynki warszawskie na polecenie Niemców. No ale Ukraińcy. No i tak dalej, i tak dalej. No i oczywiście wszyscy w administracji i komuniści, no i mnóstwo nauczycieli, którzy nas okłamywali i tak dalej, i tak dalej. Ciągle miałem wrogów. No ale oczywiście to był również, tak jak powiedziałem, mój ojciec, który nie umiał mnie ochronić, nie umiał mnie zapewnić bezpiecznego życia. Kochana mamusia, która jak gdyby starała się nas ogarnąć. Widziałem jej modlitwy na kolanach o godzinie 2-3, kiedy wstawałem, żeby się wysikać. Widziałem

ją klęczącą i modlącą się, często zapłakaną. No i to jak gdyby była moja rzeczywistość, w której wzrastałem. Tak że kiedy zrobiłem maturę w szkole 43 przy ulicy Gładkiej na Okęciu, wówczas zastanawiałem się: co dalej? Z jednej strony złożyłem papiery na studia nauczycielskie, na wychowawcę, lidera młodzieży, ale z drugiej strony, jak gdyby Pan Bóg skrobał moje serce. No i zdecydowałem się, po rozmowie z moim ówczesnym drużynowym, księdzem jezuitą Frankiem Nowickim, że ja również zapukam do bramy klasztornej. No i zrobiłem to. Tak że byłem 5 lat w klasztorze, zrobiłem nowicjat w Kaliszu, potem studia filozofii w Krakowie. No i przyszedłem na teologię do Warszawy. Wydawało mi się, że to jest moje powołanie, to jest moje życie, że ja tam do śmierci będę jezuitą. Natomiast wówczas wśród moich kolegów różnych była grupa, która nazywała się Nasz Ruch, Nasza Gromada. I oni zaczęli wydawać pismo, biuletyn, w którym opisywali swoje opinie, swoje wrażenia o rzeczywistości. I to mnie zafascynowało. Moi przełożeni w zakonie mi postawili warunek, jeśli ja się wiąże z tamtą grupą, no to nie mogę w tym momencie narażać zakonu. No i ja zdecydowałem, że ok, to do widzenia i poszedłem na te zebrania konspiracyjne, utrzymywane w pewnym zaufaniu, tajemnicy. Nie mieliśmy żadnej organizacji, ani haseł, ani przysiąg, ani nic takiego. Nie byliśmy żadnym związkiem sformalizowanym, byliśmy grupą koleżeńską. No ale koledzy między innymi zaplanowali, że trzeba demonstracyjnie wysadzić Lenina w powietrze na jego 100. rocznicę urodzin. On był wszędzie wszechobecny wówczas. Były takie humory, że w telewizji Lenin, w gazetach Lenin, w radiu Lenin. Boję się otworzyć lodówkę. No więc wszędzie był Lenin. Koledzy postanowili, nie możemy żyć w takim upodleniu, trzeba pokazać, że my się na to nie godzimy. No i postanowili wysadzić w powietrze pomnik Lenina w Poroninie, albo przynajmniej jego muzeum tam. Jak się o tym dowiedziałem, no to... To powiedziałem: „No zaraz, chwilę, ale to może być niebezpieczne, to może kogoś uszkodzić tam”. No więc koledzy mówią: „Jak chcesz, to jedź i przyjrzyj się temu”. No i pojechałem, obejrzałem to i wróciłem z takim nastawieniem, że to naprawdę jest niebezpieczne, że w tym muzeum, strażnicy, którzy etatowo pilnują tego, tak naprawdę oni w piwnicach mają swoje miejsce spotkań, tam sobie popijają, tam przychodzą do nich goście, dziewczyny i tak dalej. Tam sobie balują w tym. Więc, jeśli będzie wysadzone to muzeum, może tych ludzi tam uszkodzić, pozabijać i tak dalej. No więc... Do tego wysadzenia nie doszło, bo w przeddzień zaaresztowali nas.

Grzegorz Łeszczyński: A jeszcze tylko chciałem dopytać, te spotkania konspiracyjne odbywały się w Krakowie?

Wiesław Kęcik: Nie, to w Warszawie. W Warszawie były, na takim zebraniu, na ulicy Kościelnej, na Nowym Mieście się spotkaliśmy w mieszkaniu jednej z koleżanek.

Grzegorz Łeszczyński: Kto uczestniczył w tych spotkaniach, oprócz Pana?

Wiesław Kęcik: No i tam pierwszy raz zobaczyłem dziewczynę, która potem została moją żoną. No tam była grupa, kilka osób, które miały to wysadzać, no i ja jako ten, który miał ich uczyć na to, że uważajcie, co robicie, żeby tam nikomu krzywdy nie zrobić. No i śmiesznie, ponieważ jak nas zaaresztowali, trzymali nas ponad rok w areszcie śledczym, wyprodukowali ogromną masę tomów, dokumentów śledczych, bo to im więcej tomów, tym poważniejsza sprawa. No a zamknęli nas w czerwcu 1970 roku. I wówczas było przekonanie za Gomułki, że to będzie bardzo poważny proces i bardzo duże wyroki. No ale w grudniu, kiedy siedzieliśmy w więzieniu, nastąpiła ta rewolta robotników 1970 roku, zmiana władzy, no i przyszedł do władzy Gierek, który chciał uchodzić za liberała przed całym

światem, żeby dostać kredyty. I wówczas tę naszą sprawę w pewnym stopniu odpuszczono. Tak że koledzy w jednym procesie, Andrzej Czuma, Niesiołowski i tam inni, Benedykt Czuma, Stefan Niesiołowski, dostali mniejsze wyroki, najwyższe były 7 lat, a mnie w tym procesie, tak gdyby tym związanym z tym pomnikiem czy tam Muzeum Lenina w Poroninie, potraktowano jako najbardziej niebezpiecznego, no bo nie tylko, że jestem w opozycji, to jeszcze jestem w opozycji do opozycji, więc jestem bardzo niebezpieczny i dlatego mi dano 3,5 roku więzienia zatem najwyższy wyrok, za ten konkretny przypadek, tego właśnie Muzeum Lenina w Poroninie, do którego wybuchu nie doszło. No ale siedząc w więzieniu na Rakowieckiej w areszcie śledczym, tam, gdzie dzisiaj jest muzeum, spędziłem tam wówczas prawie półtora roku, kiedy przyspieszyły przesłuchania przed mającym się odbyć posiedzeniem sądu, to wówczas trzeba było, żebyśmy przeczytali te wszystkie akta, których było całe mnóstwo. I czytałem te akta w jednym pokoju, w tym więziennym, gdzie oficer śledczy siedział i się nudził, a myśmy te akta czytali. Ja, no i dziewczyna z mojej sprawy. Siedzieliśmy obok siebie godzinami, przeglądając te akta. No i ja tę dziewczynę widziałem na tym zebraniu jeden raz, natomiast w tych aktach kompletnie zafascynowałem się tą osobą. I pomyślałem, no to jest ktoś, z kim chciałbym naprawdę spędzić życie. Dziewczyna wyjątkowa. Jej rodzice oboje przeszli przez Syberię. Matka była wśród zesłańców do Kazachstanu. Jako rodziny tych oficerów, którzy zostali zabici w Katyniu, rodzina została wywieziona. Tak że na liście katyńskiej ona miała dwóch wujków czy stryjków, nie wujków, bo to po matce, także Szuszkiewiczów, są tam na liście katyńskiej, ze wsi Bednarówka na Pokuciu między Delatynem, no tam w takim trójkącie Nowodwórna i tak dalej, Kołomyja. Stamtąd została wywieziona na Syberię, a jej starszy brat Witold właśnie, matki mojej żony brat Witold był właśnie zabity w Katyniu. Natomiast był również inny jego stryjek. Stamtąd zostali wywiezieni matka i dwoje dzieci młodszych, czyli brat młodszy i moja teściowa. Natomiast ojciec pochodził z rodziny dawnych powstańców i urodzony był już sam na zesłaniu. Po zesłaniu syberyjskim rodzinie pozwolono zamieszkać na terenie Rosji, i wybrali Gruzję i w Gruzji się urodził. Miał za matkę Gruzinkę, za ojca Polaka. Jak wybuchła rewolucja, rodzice zginęli w tej rewolucji, natomiast ten ojciec mojej przyszłej żony Marzeny wziął swoją siostrę i przyszli do Polski. Ona została w liceum krzemienieckim i tam po ukończeniu szkoły pobrała się z nauczycielem i sama została nauczycielką. Natomiast on przyszedł po różnych tarapatach do Warszawy i tutaj w Warszawie związał się z ruchem ludowym ówczesnym. No i skończył studia. I tutaj pracował w tym. Ale jak przyszła wojna, no to razem z armią poszedł do Rumunii, ale już po przejściu, wszedł do Rumunii. Powiedział: „No ale tam tylu Polaków zostało na terenie Rosji. Ja znam biegle rosyjski”. Od urodzenia się nim posługiwał. W związku z czym postanowił wrócić. No i wrócił przez granicę, ale tam został zamknięty. I spędził kilka lat właśnie w niewoli i w aresztach moskiewskich i w łagrach syberyjskich. No ale potem oboje spotkali się. Matka i ojciec spotkali się w Teheranie po wyjściu armii ze Związku Radzieckiego. I on został szefem koła ludowców, a ona była jego sekretarką. I tak się ze sobą związali, pobrali się. Urodziła im się córka, która później została moją żoną – Marzena. Pierwsze dwa lata spędziła w Palestynie, w Ziemi Świętej. Przywieźli ją do Polski w 1947 roku. Urodzona była w 1945. Najpierw w Teheranie, a potem właśnie w Palestynie. Dom był jej związany z ruchem ludowym, to później było dla mnie bardzo istotne i ważne w moich późniejszych zainteresowaniach i zajęciach. Natomiast ta dziewczyna była nieprawdopodobnie silna, mocna, jej matka została po tych syberyjskich doświadczeniach schorowana, sparaliżowana i tak dalej. Ona, ta dziewczyna się opiekowała tą matką. W jej inwalidztwie, w jej siedzeniu na wózku inwalidzkim, gdzie była zupełnie sparaliżowana. No i skończyła dwa fakultety: skończyła polonistykę, skończyła etnografię. I wychowywała młodszego swojego brata. Ojca w jego chorobie rakowej, również opiekowała się nim. Bardzo silna i fantastyczna dziewczyna. Widziałem w tych dokumentach jej listy do matki, jej całą dokumentację i byłem naprawdę zafascynowany. W związku z czym

między sobą nawiązaliśmy kontakt i przez kraty, przez okna rzucaliśmy sobie tak zwane chabety, czyli listy na sznurku z obciążeniem, kręcąc i puszczając na tym. Wystawiała ona rękę i tak dalej, przekazywaliśmy sobie tamte listy. Co tam można było napisać, no przecież tam nie było żadnych wielkich tych, ale słowa sympatii miały dla nas wielkie znaczenie. I tak że jak skazali mnie na 3,5 roku więzienia, a ją na 2 lata, i wieźli nas w jednej suce więziennej z rozprawy do więzienia, do aresztu z powrotem, na Rakowiecką, to się jej zapytałem: – Ja bym chętniej się z tobą pobrał. będziesz na mnie czekać? No i ona powiedziała: – Tak, będę czekać. Skazano również z nami jeszcze dwóch innych kolegów, Janusza Krzyżewskiego również na dwa lata, i bardzo sympatyczny człowiek, który również później razem ze mną, czy obok mnie wszedł do działań opozycyjnych. Bardzo piękna postać. On nie żyje, umarł wiele lat temu. Mój kolega z harcerstwa, właśnie z Okęcia, czy z Raszyna. Także ja go jak gdyby zaprosiłem do tego grona, do tego towarzystwa. Ale no byłem osadzony w Barczewie. Tam siedziałem. Tak naprawdę byłem przekonany, że mnie nie wypuszczą z więzienia, że mi dadzą jakiś zastrzyk, że mnie ukatrupią. Moi rodzice pierwszy raz mnie widzieli, tak naprawdę dopiero na zakończenie śledztwa, dostali widzenie ze mną. Ojciec, który wszedł do mnie do więzienia był białowłosy, a pamiętam go z bujną czupryną czarnych włosów, tak że osiwił z tego. Mojego brata, czy moich braci również aresztowali. Najdłużej trzymali Jurka, Jerzego, który był bezpośrednio ode mnie starszy. Młodszego i najstarszego w miarę szybko puścili po kilku dniach, natomiast Jerzego dość długo trzymali. Ale też przez pomyłkę strażników, którzy pomylili cele i weszli jak gdyby do Jerzego, przyszli do mnie, ale tak jakby do Jerzego. Wtedy się dowiedziałem, że mój brat siedzi. W związku z czym ja im poszedłem na najbliższym przesłuchaniu i powiedziałem: – Jeśli go nie puścicie, to ja wam naprawdę urządzę tutaj jakąś ogromną awanturę, ponieważ ten człowiek nie ma nic wspólnego z moim zaangażowaniem w tę grupę i w te sprawy, w związku z czym nie trzymajcie człowieka niewinnego. No i proszę sobie wyobrazić, że go jakoś w miarę szybko puścili do domu. No ale i tak on później koło mnie stał w różnych innych zaangażowaniach i zajęciach w przyszłości. Natomiast drugie takie doświadczenie miałem, kiedy moi rodzice przyjechali do mnie, żeby mnie odwiedzić w więzieniu w Barczewie na widzenie i powiedzieli mi, że oni właśnie prosto ode mnie jadą odwiedzić mojego młodszego brata, Tadeusza, który jest tam w jednostce wojskowej. I ja niezwykle zdziwiony, mówię do nich: – No zaraz, przecież on miał kategorię D. „A no tak, ale oni go wyzwali na komisję, porwali mu tę książeczkę z kategorią D i wystawili mu kategorię A i go wzięli do wojska”. No i ja, wiedząc jaka jest sytuacja zdrowotna mojego brata Tadeusza, który miał wypadek samochodowy, jechał na rowerze, jakiś samochód ciężarowy z piaskiem, kompletnie nie przestrzegając żadnych reguł, jechał z dużą prędkością, no i potarcił mojego brata, który przeleciał kilka metrów w powietrzu i uderzył głową. Przez długi czas był nieprzytomny, po czym okazało się, że ma tam 16% utraty zdrowia na systemie nerwowym i tak dalej. Miał trudności z nauką i do dzisiaj się boryka ze zdrowiem. To ja wówczas im powiedziałem, tym śledczym, którzy do mnie przychodzili ciągle, mimo że siedziałem w więzieniu, żeby go natychmiast puścili do domu, bo znowu ich straszyłem, że będę bezwzględny do nich. Nie wiedziałem, co mam robić, no ale widać na tyle mówiłem to poważnie, że go wypuścili do domu. Jak wróciłem do domu, to się okazało, że tam moją rodzinę również na inne sposoby prześladowują. Między innymi, ponieważ mieszkaliśmy w bezpośredniej bliskości lotniska, tam mieliśmy zakaz remontów i tak dalej, tam były plany przesiedlenia i słusznie. Bo tam była ogromna dolegliwość hałasu przede wszystkim. I w szkole, i w domu, i tak dalej. Tam od rana był ogromny hałas w Instytucie Lotnictwa, tak zwanym GIL-u na Okęciu. Była hamownia, gdzie rano włączali silniki samolotowe, które musiały ileś tam godzin wypracować, zanim były montowane do samolotów. No i potworny pisk przez cały dzień, plus startujące i lądujące samoloty, to była ogromna trudność. W związku z czym, no to słusznie jak gdyby było, żeby nas jak gdyby przesiedlić i tak dalej. Natomiast oni w tym momencie postanowi-

li nas przesiedlić, o czym ja się dowiedziałem od braci, kiedy wyszedłem z więzienia, przesiedlić całą rodzinę do jednego pokoju z kuchnią na Włochy, na ulicę Potrzebną. Komu to było potrzebne, nie wiem, ale na pewno nie mojej rodzinie. No więc jak zacząłem się razem z braćmi przyglądać tej sprawie, to się okazało, że potraktowali moją rodzinę według przepisu dla przestępców, dużych przestępców finansowych. Żeby dać rodzinie odczuć, że przestępstwo się nie opłaca, no to specjalnie rodzinę, jak gdyby dać im dolegliwość. No ale ja nie miałem nic wspólnego z żadnymi finansami w swojej sprawie, w związku z czym to jak gdyby nas to nie dotyczyło. No więc myśmy wnieśli wniosek do Komisji Mieszkaniowej na ulicę Bednarską, że to jest nieprawna decyzja, no i dali nam spokój. I dali nam spokój. No ale myśmy w tym momencie jak gdyby postanowili sprawę wziąć w swoje ręce i doprowadzić do tego, żebyśmy stamtąd się wyprowadzili. No i po różnych perypetiach rodzina się wyprowadziła stamtąd na Wolę, a ja po wyjściu, poszedłem do tejże Marzeny Górszczykowej i zapytałem jej – czy Górszczykówny – czy czekała. No i okazało się, że mówi: – Tak czekam. Otworzyła ramiona i w przeciągu pół roku od mojego wyjścia pobraliśmy się. Oboje byliśmy naznaczeni jako wrogowie systemu. Po wyjściu z więzienia jak gdyby, wiadomo było, że nasze życie będzie inne, nie takie normalne, no więc zastanawialiśmy się, co robić. Z moim wykształceniem, które miałem, no cudowne, wspaniałe studia, które mi dali jezuici, no nikt nie miał takich studiów wtedy, ludzie się uczyli na uniwersytetach komunistycznych, a ja miałem wspaniałych profesorów, którzy byli niedopuszczeni do uczelni, bo byli nieprawomyślni, jak profesor Kotarbiński, Tatarkiewicz, profesor Dąbska Izydora i tak dalej. Przyjeżdżali do nas wykładowcy z zagranicy, z różnych krajów: z Francji, z Kanady z wykładami. Miałem cudowne, wspaniałe studia, które naprawdę były dla mnie wielkim darem, ale to nie dawało mi żadnych podstaw zawodowych. No trzeba było uzyskać jakiś dyplom, żeby podjąć jakąś pracę. W związku z czym wymyśliliśmy z żoną, że najbardziej apolityczny kierunek, jaki sobie mogę wyobrazić, to jest filologia klasyczna. Kogo interesuje starożytna greka i starożytna łacina? No, dadzą mi spokój. Ale niestety to była pomyłka, bo nie dali mi spokoju. Był bardzo ciekawy epizod, ponieważ jak wypełniałem te dokumenty przed egzaminem na te studia filologii klasycznej w Uniwersytecie Wrocławskim, postanowiliśmy uciec Służbie Bezpieczeństwa z oczu do Wrocławia. Kto tam będzie nas szukał? No to była kwestia życiorysu no i czy napisać w tym życiorysie wszystko tak jak było, czy zbagatelizować to? Żona mówi: – Słuchaj, tego i tak nikt nie czyta, napisz jak było, co ci szkodzi. No i potem jak zdałem egzamin i zostałem przyjęty, i przyjechałem do Warszawy i powiadomiłem wszystkich tu wokół, że jestem studentem Uniwersytetu Wrocławskiego, to się okazało, że dwóch panów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pojechało do dziekanatu i tam w sekretariacie przeglądali moje dokumenty. Jeden do drugiego – co mi sekretarki potem powiedziały – No i patrz, kur* *, wszystko napisał prawdziwie. No właśnie, wszystko napisał prawdziwie, nie było można się przyczepić. No ale to dzięki jak gdyby przenikliwości mojej żony, jej roztropności, żeby napisać tak jak było. No ale nawet jeśli byliśmy tam, no to przyszedł 1976 rok – pobraliśmy się w 1974 – no i zaczęła się przygoda właśnie strajków Ursus, Radom, organizowania pomocy dla nich i tak dalej. No w związku z czym, no też trzeba się było w to zaangażować, na ile mogliśmy. Tam się urodziło nam dwoje dzieci: syn Mikołaj i córka Anna. On ma w dokumentach warszawskie urodzenie, ale ona jest urodzona tam na miejscu w Trzebnicy. Mieszkaliśmy w Obornikach Śląskich pod Wrocławiem i szpital rejonowy dla tych Oborników to była Trzebnica. Starożytny klasztor, stary klasztor właśnie średniowieczny św. Jadwigi Śląskiej i tam był szpital, gdzie moja córka się urodziła, Anna. No i chwilę później był ten, powstał w związku ze śmiercią Staszka Pyjasa, Studencki Komitet Solidarności w Krakowie. Studenci warszawscy natychmiast ich wsparli. No i jak tutaj w Warszawie bywałem, no to się spytałem kolegów, tych młodszych studentów z tego komitetu, czy oni chcą taki komitet we Wrocławiu. No oni powiedzieli: natychmiast, jeśli możliwe. No więc pojechałem tam i ze swoich kolegów, których tam miałem na róż-

ných wydziałach, zebrałem ich w gromadę. No i w ten sposób powstał Studencki Komitet Solidarności we Wrocławiu. Tak że byliśmy z tym komitetem związani przez wiele lat. I cała ta opozycja wrocławska, to pierwotnie wszyscy byli moi koledzy, czy nasi koledzy stamtąd. Z nimi niektórymi do dzisiaj utrzymuję bardzo żywy kontakt. Mogę powiedzieć, niemal rodzinny. Natomiast tutaj się przenieśliśmy do Warszawy w 1978 roku. W tym domu, gdzie siedzimy w tej chwili mieszkała babcia. Ta właśnie babcia mojej żony Marzeny – Julia, która wróciła z Kazachstanu. I tutaj ten domek wybudowała, przy pomocy wsparcia finansowego swojego brata, który był lekarzem w Ameryce i jej pomógł finansowo, żeby mogła tutaj ten domek sobie, w ramach spółdzielni mieszkaniowej „Antena”, dla pracowników radia głównie. Tak że tu obok mieszkało wielu ludzi związanych z radiem i dziennikarzy, i obsługi technicznej, i tak dalej. Między innymi dwa domy dalej mieszkał aż do śmierci pan Władysław Szpilman. Tak że tutaj jest Nobel na naszej ulicy. I wielkie, wielkie doświadczenie obok. Także wielokrotnie słyszałem pana Władysława w niedzielne poranki słoneczne, przy otwartej werandzie, jak siedział i grał na pianinie godzinami. Bardzo sympatyczny sąsiad. Przepraszam, że mówię o jednym. Cała ulica była wówczas niezwykle zżyta, otwarta. Było dużo dzieci na ulicy. Wszyscy się znaliśmy, bardzo były relacje dobrosąsiedzkie. Niezależnie od tego, że część ludzi była związana pracą z systemem i pracowali na placówkach dyplomatycznych, jak najbliżsi sąsiedzi za ścianą byli pracownikami konsulatów w krajach południowoamerykańskich. No i to właśnie z tamtej strony przez ścianę Służba Bezpieczeństwa zakładała podsłuchy w naszym domu, a ja odkryłem w przewodach kominowych świeżutkie instalacje. No mieliśmy tym... Babcia Julia zmarła w 1976 roku i my tak naprawdę od tego momentu się tutaj wprowadziliśmy. Początkowo nie w pełnym wymiarze godzin, bo ciągle byliśmy związani z Wrocławiem, ale od 1978 roku na stałe tutaj mieszkając. Jak w 1978 roku przeprowadziliśmy się po moich studiach, których zresztą nie pozwolono mi skończyć, nie chcę oskarżać konkretnych ludzi, ale naprawdę oszukali mnie w dokumentach, i okazuje się, że ta osoba, która to podejmowała, również donosiła na mnie do Służby Bezpieczeństwa i tak dalej. Jedna z pracownic właśnie Instytutu Filologii Klasycznej. No, nie ma znaczenia. I jak przyjechaliśmy tu do Warszawy, to ja mam bardzo dobre stosunki w tej chwili z Uniwersytetem, w tym Uniwersytet wydał mi medal wdzięczności za moje zaangażowanie wówczas dla Polski, dla Uniwersytetu. Z tego się dzisiaj cieszą, że robiłem, co robiłem, ale wtedy była inna rzeczywistość, wtedy to nie było mile widziane. No więc ja rozumiem ich, wtedy to był Uniwersytet Bolesława Bieruta, więc musieli biedni zasługiwać na tę nazwę. No taka była rzeczywistość, która oczywiście bardzo się dzisiaj zmieniła. I dzisiaj można tylko się zastanawiać, przez co myśmy przeszli, przez jakieś straszliwe oszustwo, przez kłamstwo, to dojmujące kłamstwo wszędzie, w każdej sytuacji. No to było potworne. Myśmy w tej gromadzie kolegów, która się potem nazywała opozycją, byliśmy ludźmi, którzy starali się żyć w prawdzie. Co myśleliśmy, to mówiliśmy, mimo że często bardzo to kosztowało. Bardzo to kosztowało. W 1978 roku, jak się przeprowadzaliśmy do Warszawy, akurat zaczęły się strajki chłopskie. Janusz Rożek na Lubelszczyźnie wraz ze swoimi kolegami, przyjechał tutaj do Warszawy i mówił: „My strajkujemy, przyjdźcie do nas, pomóżcie nam rozwiązać nasze problemy, ponieważ nas tam na różne sposoby oszukują i prześladują. My protestujemy, no i my chcemy od was pomocy”. No i pojechała wtedy grupa kolegów, wśród których byłem i ja, Jan Józef Lipski, Andrzej Zozula, Ludwik Dorn i tam jeszcze inni. W kilku żeśmy pojechali tam do nich. I tam na zebraniu na Leśnej Polanie chłopci nam opowiedzieli o swojej sytuacji. Natomiast tak się złożyło, że żaden z tych moich kolegów nie rozumiał, o czym oni mówią. Wszystko to była warszawska inteligencja od wielu pokoleń. Nie mieli pojęcia o tej rzeczywistości tych ludzi tam na wsi lubelskiej. Natomiast trochę było inaczej ze mną, bo ja byłem mężem tejże Marzeny, która po skończeniu studiów etnograficznych, miała prawo robienia dla Polskiej Akademii Nauk wywiadów etnograficznych. I te wywiady w dużej mierze to nie były wywiady czysto etnograficzne, tylko to były

wywiady społeczne. I to było w jakiś sposób badanie atmosfery na wsi i tego, co ludzie myślą, i tego, co ludzie mówią. Owszem, były również i typowo, takie etnograficzne, jak się co nazywa, jak nazywacie tam ten szczyt na stodole, albo inne tego typu historie, albo jakich potraw używacie na różne święta, natomiast było dużo właśnie takich pytań społecznych. No i moja żona była w jednej ciąży, w drugiej ciąży, z małymi dziećmi i tak dalej, więc nie mogła chodzić po tych wsiach, to ja brałem ten kwestionariusz i chodziłem tam za tym. Świetnie płacili, doskonały zarobek, dodatek do mojego stypendium. Uczyłem się w dużej mierze dla stopni, żeby mieć dodatek 500 złotych za dobrą naukę, za przeciętną powyżej 4,5 w systemie do 5. W związku z czym, nauczyłem się słuchać ludzi na wsi. Ja nauczyłem się nocować u nich, jeść z nimi i słuchać ich. No również jakoś tam zadziały moje jakieś wspomnienia z bardzo wczesnego dzieciństwa, gdzie odwiedzałem różnych wujków na Grójeczczyźnie. Byli to ludzie jak gdyby z innej kultury niż ja później uczestniczyłem. Ale to dzieciństwo we mnie trwało, było, więc ten język nie był mi obcy. Byłem wtedy w tej grupie tam pod Lublinem jedynym, który mógł napisać w imieniu tych chłopów ich rezolucję, ich oświadczenie. No i napisałem tam na pieńku i zapytałem się ludzi, „Czy to chcecie powiedzieć?” Oni powiedzieli: „Tak, dokładnie to”. No więc od tej pory zostałem pisarzem Ruchu Ludowego powstającego. I to doprowadziło do tego, że ktokolwiek przyjeżdżał potem do Warszawy ze wsi, to koledzy odsyłali ich do mnie.